

DZIŚ W „ŚWIĄTECZNEJ”



WYWIAD Z ERIKĄ STEINBACH

Co pani powie Polakom?

ERIKA STEINBACH: Jeszcze Polska nie zginęła. Polacy zawsze potrafili mobilizować się do oporu. Również podczas dyktatury Hitlera, której największe okrucieństwa dotknęły właśnie państwo polskie. A poza tym: **Modzelewski** o Kuraniu, **Habermas** o Dahrendorfie, **Przeworski** o kłamstwach w demokracji, fragmenty dzienników Zawłayskiego

-s. 16-29



Steinbach:

Agresorem był Hitler, nie kobiety i dzieci

Erika Steinbach rzadko i bardzo niechętnie udziela wywiadów polskim dziennikarzom. W drodze wyjątku zgodziła się porozmawiać z Brygidą Helbig-Mischewski i Magdą Parys-Liskowski. Autoryzacja wywiadu trwała jednak cztery tygodnie. Wywiad publikujemy w wersji ustalonej przez Steinbach i jej konsultantów od języka polskiego - bez żadnych zmian. Miejsca skrótów są zaznaczone. Pelen tekst - na Wyborcza.pl

BRYGIDA HELBIG-MISCHEWSKI I MAGDA PARYS-LISKOWSKI: Siłą napędową przy tworzeniu „widocznego znaku” jako Instytucji państwowej był Związek Wypędzonych. A teraz pani, jego przewodnicząca, nie uczestniczy w jego realizacji. Boli to panią?

ERIKA STEINBACH: Nie, ponieważ zależało mi przede wszystkim na tym, żeby miejsce pamięci, o które tak długo walczyłam, wreszcie powstało. Niemiecy socjaldemokraci dali jasno do zrozumienia, że zablokują projekt, jeśli zasiądę w radzie. Nie chcę być powodem, dla którego prace się opóźniają. Dlatego zaproponowałam Związkowi Wypędzonych rezygnację z mojej kandydatury, ale i demonstracyjne pozostawienie pustego miejsca jako symbolu wolności wyboru. **Jak długo to miejsce ma pozostać nieobsadzone?**

- To się okaże. Wszystko zależy od większości w nowo wybranym rządzie. **To znaczy, że jeśli CDU osiągnie większość, to pani w radzie zasiądzie?**

- CDU, w szczególności zaś kanclerz Angela Merkel, chce, żeby Związek Wypędzonych mógł spokojnie wprowadzać w życie swoje prawa. Wyraźnie o tym mówiła na dorocznym przyjęciu Związku Wypędzonych. **Tymczasem jednak prace toczą się bez pani...**

- W fundacji jest dwóch przedstawicieli Związku Wypędzonych. To moi wiceprezyci cieszący się moim całkowitym zaufaniem. Ponadto wykorzystując swoje polityczne możliwości, będą oczywiście bardzo dokładnie śledzić rozwój tej instytucji.

W jaki sposób „widoczny znak” uwzględni przymusowe wysiedlenia innych narodów?

- Szczegółowa koncepcja jeszcze nie została uchwalona. Ale nasz związek wraz z moją fundacją Centrum przeciw Wypędzonym jednoznacznie pokazał, że Niemiecy wypędzeni okazują wiele zrozumienia ofiarom innych wypędzeń. Że nie są to puste słowa, udowodniłiśmy, organizując w Berlinie w 2006 r. wystawę „Wymuszone drogi”. Byliśmy pierwszymi w Niemczech, którzy przedstawili wypędzenia innych narodów europejskich, w tym naturalnie również losy wypędzonych Polaków. Sądzę, że to do-

Mój ojciec był w Luftwaffe. Bogu dzięki, że był w Luftwaffe. Nikomu przynajmniej nie przyjdzie do głowy mówić, że był nadzorcą obozu koncentracyjnego

- mówi w rozmowie z Brygidą Helbig-Mischewski* i Magdą Parys-Liskowski**

Erika Steinbach

brze, kiedy ludzie, którzy sami stali się ofiarami, interesują się losami innych ofiar. Pomaga to pokonać własny ból.

Ale „widoczny znak” temu tematowi poświęci tylko wystawy okazyjne.

- Ustawa zakłada, że los wypędzonych Niemców będzie centralnym tematem wystawy. Dotyczy to przecież co trzeciej rodziny w Niemczech. Zajęcie się tą niezwykle istotną częścią historii Niemiec jest niezbędne dla naszej tożsamości kulturowej. To część na długie lata wypartego w Niemczech procesu poszukiwania tej tożsamości.

Ale rozumie pani obawy Polaków? Obawy przed tym, iż w efekcie tych wszystkich działań w zbiorowej świadomości Niemców z drugiej wojny światowej pozostanie tylko pamięć o Holocauście i przymusowych wysiedleniach Niemców?

- Bardzo dobrze rozumiem troski i obawy Polaków. Są one jednak bezpodstawne. Sama w wielu przemówieniach wciąż dawałam do zrozumienia, że gdyby nie Hitler, nie doszłoby do wypędzeń. Polska i Rosja należą do państw, które najstraszniej ucierpiały pod reżimem nazistowskim. Tragiczne doświadczenia Polaków to temat, który zajmował już mojego poprzednika Herberta Czaję. Wykładał na uniwersytecie w Krakowie, ponieważ mieszkał w regionie, który do pierwszej wojny światowej przypadł w udziale Polsce. [Czaja nie wykładał na UJ, ale tam studiował, jesienią 1939 r. przez dwa tygodnie pracował jako asystent, został jednak wyrzucony, bo nie wstąpił do NSDAP]. Mówił dobrze po polsku. Kiedy Hitler zaatakował Polskę, wymagano od Herberta Czaję, żeby wstąpił do NSDAP, jednak on się sprzeciwił. Jako przewodniczący Związku Wypędzonych niejednokrotnie podkreślał, że w Niemczech trudno sobie wyobrazić, jak wszechobecna jest w Polsce trauma okupacji. To jest dla nas, w szczególności zaś dla mnie, rzecz oczywista.

Kto odpowiada za przymusowe wysiedlenia Niemców?

- Hitler otworzył puszkę Pandory z nieludzkim okrucieństwem. Jednak odpowiedzialność za wypędzenia pod koniec wojny i po wojnie ponoszą ci, którzy sprawowali tam władzę. Duża część odpowiedzialności spada na aliantów. Odpowiedzialne są także państwa, z których Niemców wypędzono. Nie kto inny jak wielki Polak Jan Józef Lipski powiedział wyraźnie, że jedno bezprawie nie może usprawiedliwiać drugiego - miał na myśli wypędzenia. Nie było i nie ma w prawie międzynarodowym mowy o winie zbiorowej, którą mieliby ponosić niewinni.

Ale czy te państwa, z których Niemców wysiedlono, miały inny wybór?

- W życiu ma się przeważnie jakiś wybór. Szczególnie po wyzwoleniu się spod dyktatury. Belgia i Francja zachowały się w stosunku do niemieckiej mniejszości inaczej. Ukarano tylko winnych, chociaż w Belgii również doszło do masakry. Zdaję sobie sprawę z tego, że w Polsce reżim był inny. Ale pretekst do wypędzeń i w Belgii by się znalazł.

A jaki wybór miała w 1945 r. Polska przy ustalaniu granic?

- To miała być początkowo granica tymczasowa, takie były ustalenia aliantów. Polska nie miała na to wpływu. Zwłaszcza Stalin, forsując swoje plany polityczne, nie brał Polski pod uwagę.

Mówi Pani o 12,5 mln wypędzonych. Zalicza pani do nich też uciekających okupantów i późniejszych przesiedleńców?

- W sumie mamy do czynienia z 15 mln Niemców wypędzonych z różnych krajów europejskich. Podczas wypędzeń zginęło bądź zaginęło około 2 mln ludzi. Na tereny dzisiejszych Niemiec dotarło około 12,5 mln. Wszystkie te osoby objęte są przepisami niemieckiej ustawy o wypędzonych. Do tego dochodzą między innymi późniejsi przesiedleńcy z byłego Związku Radzieckiego, z Rumunii oraz Niemcy, którzy w latach 80. i z początkiem lat 90. przybyli z terenów dzisiejszej Polski.

Często nazywa pani Związek Wypędzonych organizacją ofiar. Przymusowo wysiedleni to ofiary nazizmu?

- Wypędzenie Niemców było jedną z konsekwencji nazizmu, wypędzeni nie są jednak jego ofiarami. Podczas wypędzeń, to znaczy do roku 1948, Hitlera i jego reżimu już nie było. Odpowiedzialność za nie ponoszą inni. Wypędzeni są ofiarami różnych reżimów oraz aliantów. Obowiązujące w ówczesnym okresie rządy przeprowadzały to na różne sposoby. Na przykład Tito ponad połowę Niemców, którzy w 1944 roku znajdowali się jeszcze w Jugosławii, uwięził w obozach. Połowa z tych ludzi zginęła, ci, którzy przeżyli, zostali wypędzeni w 1948 roku. Pretekstem do tego był nazizm. Nie może być on jednak usprawiedliwieniem dla przemocy i wypędzenia niewinnych ofiar.

Czy wszyscy członkowie Związku Wypędzonych byli tylko ofiarami? Wśród wysiedlanych i uciekających Ślązaków i Prusaków nie było zbrodniarzy nazistowskich?

- Wśród tak licznej grupy ludzi z całą pewnością znajdowali się nazistowscy sprawcy. Podobnie jak wśród ludności niewypędzonej - z Hamburga, Kolonii, Monachium czy Berlina. Wszystkich, których po wojnie udało się schwycić, alianci, a później Republika Federalna Niemiec postawili przed sądem i skazali. Skoro o tym mowa, to na przykład wieloletni przewodniczący Ślązaków Herbert Hupka sam był wraz z rodziną prześladowany przez nazistów. Jego matka była więźniarką obozu koncentracyjnego w Theresienstadt.

Ale wielu tzw. wypędzonych przybyło do Niemiec, jeszcze zanim nastąpiły wysiedlenia albo - jak sama pani wspominała - w latach 80.

- Kto ucieka w obronie życia i nie ma możliwości powrotu, jest z punktu widzenia prawa międzynarodowego wypędzonym. Jako rzecznik praw obywatelskich z ramienia frakcji Bundestagu CDU/CSU spotykam się na co dzień z takimi przypadkami. Największe dramaty tego typu rozgrywają się w dzisiejszej Afryce. Niestety, przed paroma laty zdarzyło się to także w Europie, w byłej Jugosławii.

Długo to także ucieczki narodu, który sam wywołał wojnę?

- Chodzi tu o prawa człowieka. Prawo międzynarodowe jest jednoznaczne. Nie ma czegoś takiego jak wina zbiorowa, tak samo jak nie ma zbiorowej kary. Poza tym wojny z reguły nie wywołuje „naród”, tylko jego rząd, co zazwyczaj w narodzie wywołuje trwogę. Kiedy Adolf Hitler dochodził do władzy, moja matka miała 11 lat. Z pewnością to nie ona wybierała tego zbrodniarza. Mój ojciec miał 17 lat i też nie mógł jeszcze głosować, a mimo to całą swoją młodość spędził na wojnie. Z rosyjskiej niewoli wrócił w wieku 33 lat. Nie przy-

czynił się do stworzenia tego reżimu, ale musiał go przecierpieć. Każdy ma prawo ponosić karę wyłącznie za swoje osobiste przewinienia. I tego w niektórych krajach, jak już mówiłam, przestrzegano.

Czy naprawdę można mówić o wypędzeniach, kiedy agresor ucieka z zajętych przez siebie terenów?

- Agresorem był Hitler i reżim, który stworzył, chociaż nie wybrała go nawet połowa Niemców (43,91 proc. głosów). Agresorem nie były kobiety i małe dzieci.

Co robił podczas wojny pani ojciec?

- Mój ojciec był w Luftwaffe. Bogu dzięki, że był w Luftwaffe. Nikomu przynajmniej nie przyjdzie do głowy mówić, że był nadzorcą obozu koncentracyjnego.

Opowiadał o wojnie?

- Prawie nie opowiadał. Kiedy pytałam go: tatuś, jak było w rosyjskiej niewoli, odpowiadał tylko: „Je. I dodawał jeszcze: Rosjanom też tam nie było lepiej. Z rosyjskiej niewoli wrócił ledwo żywy pod koniec 1949 roku, sama skóra i kości.

Co opowiadała o ucieczce pani matka?

- Moja mama spisała dla nas wspomnienia o ucieczce. Miała wówczas dwójkę małych dzieci, moja siostra miała trzy miesiące, a ja półtora roku. Najpierw spędziłyśmy kilka tygodni w wagonie bydłowym z nadzieją, że będziemy mogły uciec przed Rosjanami na zachód. Potem mama miała nadzieję, że uda nam się dostać na statek „Wilhelm Gustloff”. Ale także to okazało się - na szczęście - niemożliwe. Statek, jak wiadomo, został storpedowany, zginęło wówczas 10 tys. uciekinierów. Dwa dni po tej katastrofie dostaliśmy się na mniejszy, całkowicie przepelniony statek. Statek płynął nieoświetlony, płynęliśmy nim w sumie trzy tygodnie. W drodze zatopiono statek, który nam towarzyszył. W nas też coś mocno uderzyło, myśleliśmy, że to już koniec. Okazało się, że zderzyliśmy się z innym statkiem. Na skutek zderzenia do naszego statku dostała się woda, co wywołało oczywiście panikę. Otwór o średnicy 5 metrów znajdował się na szczęście powyżej poziomu wody. Morze było jednak w miarę spokojne. W ostatnich dniach podróży nie było już nic do jedzenia ani do picia. Gdy w końcu dotarliśmy na ląd, bodajże w mieście Stralsund, pielęgniarka Czerwonego Krzyża przejęła mnie i moją siostrzyczkę. Następnego czwartego tygodnia moja matka w ogóle nie mogła sobie przypomnieć. Olbrzymie napięcie i strach, jakże wtedy przeżywała, spowodowały abso-

lutną amnezję. Pamięć tamtych tygodni nie wróciła mojej matce aż do śmierci. Podczas ucieczki miała 23 lata i musiała ze wszystkim radzić sobie sama. Przez wiele lat nie wiedziała, czy mój ojciec jeszcze żyje i gdzie przebywa. **W Niemczech nie przyjmowano uciekinierów serdecznie...**

- W Szlezewiku-Holsztynie, dokąd nas skierowano, chłopcy nie cieszyli się naturalnie z przybycia tylu ludzi pozbawionych środków do życia. Przerastało to ich siły i możliwości, podobnie było zresztą w innych regionach Niemiec. Do kraju, którego większe miasta były całkowicie zniszczone, przybywały miliony ludzi. Nie ma się więc co dziwić, że niechęć wobec nowo przybyłych była bardzo duża. Jeden z chłopów powiedział do mojej matki: „Jesteście gorsi niż karaluchy”. Przez wiele lat utrzymywało się napięcie i wrogość zachodnich Niemców w stosunku do wypędzonych. Stalin miał nadzieję, iż w ten sposób uda mu się destabilizować Niemcy zachodnie.

Nigdy pani nie płakała, słysząc zarzuty z Polski?

- Nie, ale byłam przerażona bardzo niekształconym wizerunkiem mojej osoby. Moi rodzice za życia bardzo z tego powodu cierpieli. Ojciec powiedział kiedyś z oburzeniem: „Erika przecież taka nie jest”. Znoszę to wszystko, bo angażuję się nie dla siebie, lecz dla ludzi, którzy często są bezsilni. Zarzuty te nie dotyczą mnie tak bardzo, gdyż wiem, że odgrywają tu rolę cierpienia, jakich doświadczyła Polska. Mimo wszystko to jednak absurd. Byłam wówczas małym dzieckiem, a zakłada mi się mundury SS... A przecież wszyscy nasi prezydenci z wyjątkiem Theodora Heussa i obecnego prezydenta, który jest z mojego rocznika, byli w czasie wojny żołnierzami. Richard von Weizsäcker był oficerem i od pierwszego dnia wojny brał udział w zdobyciu Polski, a przecież cieszy się szacunkiem i nie jest w Polsce kimś podejrzanym. Nie biorę wszystkiego do siebie, gdyż wiem, jak wiele kryje się za tym tragicznym przeżyciem Polaków. Ale chodzi o wszystkim również o wewnętrzne polskie rozgrywki, kiedy np. jedna partia pragnie zwyciężyć drugą i szuka pomocnych jej w tym tematów. Jestem jednak głęboko przekonana, że to się kiedyś unormuje. Uspokaja mnie to, że w tych regionach Polski, w których wcześniej mieszkali Niemcy, te radykalne poglądy nie padają na podatny grunt. Tam gdzie ludzie się znają, gdzie ze sobą rozmawiają, nie udaje się budzić lęków absurdalnymi argumentami.

Może pani podać konkretne przykłady?

- Ziolkostwo Prus Wschodnich nawiązało na przykład partnerstwo z ponad 30 miastami w dzisiejszej Polsce. Burmistrzowie tych miast i tamtejsi wojewodowie spotykają się z przedstawicielami ziolkostw niemieckich na zmianę w Polsce i w Niemczech. Były premier Jarosław Kaczyński próbował zablokować te kontakty. Lecz tylko jeden z burmistrzów podporządkował się temu naciskowi politycznemu. Jestem więc przekonana, że klimat w Polsce znormalizuje się kiedyś także i w Warszawie. Dużą rolę odgrywają tutaj lęki, które rozumiem. Wielu moich kolegów posłów głosowało ze mną swego czasu w Bundestagu przeciwko granicy na Odrze i Nysie. Nie dlatego, żeby nie chcieli uznać tej granicy, lecz dlatego, iż nie uregulowano równoległe do niej innej ważnej kwestii, która do takich obaw prowadziła - kwestii majątkowej. Gdyby wówczas nas posłuchano, nie byłoby dzisiaj ani pruskiego, ani polskiego powiernictwa.

Oznacza to, że Związek Wypędzonych zrezygnowałby z odszkodowań i roszczeń?

- Nie mogę jako przedstawicielka Związku zrezygnować z roszczeń osób prywatnych. Zabraniem tego nasza konstytucja. Problem ten może rozwiązać jedynie rząd niemiecki i Polska. Jest mi obojętne, kto znajdzie rozwiązanie, zależy mi jedynie na tym, żeby tę kość niezgody jak najszybciej usunąć. Bo jest to rzeczywiste temat, który prowadzi w Polsce do wielu awersji i lęków. (...)

W Polsce zarzuca się pani, że głosowała pani przeciw uznaniu granicy polsko-niemieckiej i przeciw wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej.

- Nie jest to prawda. Nie głosowałam przeciwko wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Podczas pertraktacji związanych z poszerzeniem UE zdecydowano się na przyjęcie dziesięciu krajów jednocześnie. Jestem odpowiedzialna za prawa człowieka we frakcji CDU/CSU, stąd też przed głosowaniem zwróciłam uwagę na to, że w czterech krajach istnieją jeszcze regulacje prawne niezgodne z prawem człowieka. Wymieniłam jako przykład jedynie Czechy i dekrety Benesa. Zwróciłam uwagę na to, że było niedopatrzeniem Komisji Europejskiej, iż nie obstała przy warunku zniesienia tych praw podczas procesu poszerzenia Unii. Następnie zgodziłam się ze wstąpieniem wszystkich dziesięciu krajów i powiedziałam, że „witam serdecznie mieszkających w nich ludzi”.

Zgodziłam się także bez jakichkolwiek zastrzeżeń na wstąpienie Polski do NATO.

W wywiadzie dla „Splegla” powiedziała pani, że istniało takie zjawisko jak polskie „partie (Drang) na Zachód, że w okresie międzywojennym istniały karty pocztowe, na których granice Polski sięgały Berlina”.

- Tak, to prawda. Te karty były nawet rozsyłane przez instytucję państwową. Pojawiały się także wypowiedzi, iż „obcy element” w Polsce należy zredukować poniżej 1 proc. Chodziło tu nie tylko o Niemców, ale także o Ukraińców i Białorusinów. Były to poglądy nacjonalistyczne. Bez Hitlera jednak nie udało się ich przevorsować w tak dramatyczny sposób.

Można by pomyśleć, że za pomocą takich przykładów próbuje pani zdjąć z Niemców piętno winy za drugą wojnę światową.

- Nie, za narodowy socjalizm jesteśmy odpowiedzialni my sami i nikt inny. (...)

Czy jest coś, co chciałaby pani powiedzieć Polakom na zakończenie?

- Jeszcze Polska nie zginęła. Za tę niezłomność zawsze podziwiałam naród polski. Mimo trzech rozbiorów i wymazania państwa polskiego z mapy Europy Polacy zawsze potrafili mobilizować się do oporu kierowani przekonaniem: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Działo się tak również podczas dyktatury Hitlera, której największe okrucieństwa dotknęły właśnie państwo polskie. I mimo wszystko: „Jeszcze Polska nie zginęła”. W tym stuleciu w zjednoczonej Europie możemy - odwołując się do tego, co nam kulturowo wspólne, oraz do wzajemnego współczucia - przezwyciężyć okrucieństwa wieku dwudziestego. I to właśnie jest moim celem. ●

* BRYGIDA HELBIG-MISCHEWSKI

dr hab., prof. Uniwersytetu Szczecińskiego, ur. w 1963 r. w Szczecinie. Od 1983 r. w Niemczech, ukończyła slawistykę i germanistykę w Bochum, od roku 1994 pracownik naukowy Uniwersytetu Humboldtów w Berlinie, wykłada na kulturoznawstwie i dziennikarstwie Uniwersytetu Szczecińskiego

** MAGDA PARYS-LISKOWSKI ur. w 1972 r. w Gdańsku. Od 1983 r. w Berlinie, absolwentka filologii polskiej i pedagogiki, obecnie doktorantka z zakresu stosunków polsko-niemieckich na Uniwersytecie Humboldtów

KOMENTARZ

STEINBACH TONIE



BARTOSZ T.
WIELŃSKI

Gazeta
Wyborcza

●● W Polsce Erika Steinbach wciąż wydaje się postacią groźną. W Niemczech politycy liczą się z nią coraz mniej. Coraz bardziej zamyka się w świecie swoich wyobrażeń - co pokazuje wywiad, który publikujemy.

Ostatnio Steinbach pojawia się w Berlinie na „polskich” imprezach. Podczas odsłonięcia pomnika „Solidarności” pod Reichstagiem z daleka rzucał się w oczach jej różowy kostium. Weześniej była na otwarciu wystawy o stosunkach polsko-niemieckich w Nie-

mieckim Muzeum Historii. Na spotkaniu niemieckich posłów z polskimi dziennikarzami przekonywała nawet, że spór o wypędzonych w ogóle nie dotyczy Polski. - To rozliczenie wewnętrznie niemieckie. My musimy rozliczyć się z tego, że po wojnie wypędzonych traktowano w Niemczech jak trędowatych - mówiła.

Czy Steinbach planuje metamorfozę? To nie ma żadnego znaczenia.

Statek Steinbach tonie, i to nie od marca, gdy Angela Merkel postanowiła nie dopuścić jej do rady zarządzającej muzeum niemieckich wypędzonych - „widoczny znak”. Decydujący cios został zadany już jesienią 2005 r., gdy politycy SPD i CDU negocjujący umowę koalicyjną postanowili, że muzeum wystawi wypędzonym nie Związek Wypędzonych (BdV) Eriki Steinbach, ale niemiecki rząd.

Pod koniec lat 90., wkrótce po przejściu rządów w Związku Wypędzonych, Steinbach, mało znana polityk CDU z Frankfurtu, rzuciła hasło budowy Centrum przeciw Wypędzonym. Oficjalnie miało zajmować się dokumentowaniem historii wysiedleń. Steinbach chciała jednak stworzyć coś w rodzaju przetrwal-

nika dla działaczy związku. Potężny niedość BdV wypadł już bowiem z głównego nurtu niemieckiej polityki. W procesie zjednoczenia Niemiec nie wziął udziału. Bez powodzenia próbował zablokować polsko-niemiecki traktat graniczny z 1990 r. Urządzana z rozmachem prestiżowa placówka w sercu Berlina ze sporym budżetem miała erozji związkowi zapobiec. Miało też utrwalić główną tezę wypędzonych - że są niewinnymi ofiarami bezprawnie wypędzonymi z małych ojczyzn przez Polaków czy Czechów. Próbkę tego, jak historia została pokazana w centrum, Steinbach dała na wystawie „Wymuszone drogi” otwartej w sierpniu 2006 r. w Berlinie. Wszystkie deportacje, jakie miały miejsce w XX wieku, sprowadzono tam do jednego mianownika. To, że Niemców wysiedlano ze wschodniej Europy w wyniku wojny, którą sami rozpoczęli, zupełnie gubiło się między opisami rzezi Ormian i deportacji, które miały miejsce w latach 70. na północnym Cyprze.

W „widocznym znaku” za to, by historia deportacji nie została zafałszowana, będzie odpowiadał niemiecki rząd i międzynarodowi (także polscy) eks-

perci. Wprawdzie trzech przedstawicieli wypędzonych wejdzie do rady fundacji zarządzającej muzeum, ale rada liczy aż 13 osób. Steinbach zrozumiała to. By ratować twarz, walczyła o fotel w radzie zarządzającej. Polska jednak postawiła weto. Być może, gdyby dalej rządził Jarosław Kaczyński, Steinbach udłoby się przekonać Merkel, że jest ofiarą jego antyniemieckich fobii. Być może kanclerz pozwoliłaby jej wejść do rady „znaku”. Ale rozgrywka toczyła się w marcu 2008 r., a w imieniu polskiego rządu przeciw Steinbach wystąpił niezwykle szanowany za Odrą prof. Władysław Bartoszewski. Merkel jako pierwsza chadecka kanclerz w historii odwróciła się od wypędzonych, wybierając dobre stosunki z Polską.

Wtedy Steinbach popełniła poważny błąd. Poszła po pomoc do chadeków z Bawarii. Horst Seehofer, bawarski premier, szukał pretekstu, by zaatakować Merkel i podnieść swój prestiż. Uznał, że sprawa Steinbach to dla Niemiec hańba. Polsce zarzucił mieszanie się w nie swoje sprawy. Jednak poprzestał na słowach i sprawa szybko ucichła. Steinbach została znowu sama.

Ci, którzy śledzili karierę Angeli Merkel, wiedzą, że nie wybacza takiej niełojalności. Chadeccy politycy o wyższej szarzy niż Steinbach prędzej czy później kładli głowy pod topór. To wkrótce czeka szefową BdV. Oczywiście jesienią Merkel odwiedzi ją na dorocznym zjeździe związku i wyrazi solidarność z przewodniczącą. We wrześniu będą wybory do Bundestagu, a wypędzeni jak zawsze zgłoszą na CDU. ●

Związek Wypędzonych (BdV) reprezentuje Niemców, którzy w czasie wojny uciekli przed Armią Czerwoną lub zostali deportowani po wojnie, a także tzw. późnych przesiedleńców, czyli Niemców, którym pozwolono od lat 70. wyjechać z bloku wschodniego. Przewodniczącą BdV jest Erika Steinbach. Jej rodzina osiedliła się w czasie wojny w okupowanym polskim mieście Rumia i stamtąd uciekła.

„Widoczny znak” - zapisana przez SPD i CDU w umowie koalicyjnej z 2005 r. instytucja, która ma upamiętniać powojenne wypędzenia Niemców. „Widoczny znak” to nazwa prowizoryczna, ale już się przyjęła.